№ 36. 4. Września 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Opozycja na ostatnim sejmie Rzeczypospolitej.

I.

Ostatni sejm Rzeczypospolitej, zwołany pod presją Moskwy do Grodna w roku 1793 dla potwierdzenia drugiego rozbioru, dokonanego gwałtem i siłą przez Rosję i Prusy, rozpoczął się 17. czerwca, skończył 25. listopada z rana po całonocnem posiedzeniu.

Pięciomiesięczne przeszło dzieje tego sejmu, zwanego przez twórców Konstytucji 3-go maja »ojczyznobójczym«, to dzieje boleści i hańby.

Ale wara rozciągać tę hańbę na cały naród! Wszak ten naród złożył dowody moralnego swego odrodzenia z upadku saskich czasów, przyjmując z entuzjazmem sławną Ustawę rządową z dnia 3. maja; wszak bronił jej mężnie, z orężem w ręku przeciwko najazdowi moskiewskiemu, wprowadzonemu do kraju przez Targowicę w r. 1792; wszak w kilka miesięcy po zamknięciu sejmu grodzieńskiego potokami krwi, przelanej w Kościuszkowskiem powstaniu, protestował przeciwko traktatom rozbiorowym! Nie wolno więc zrzucać na cały naród odpowiedzialności za słowa i czyny przedajnych posłów, nie z jego woli wybranych!

Wybory do sejmu czyli tak zwane sejmiki, odbywały się pod bagnetami; do każdego komenderowany był oficer rosyjski z oddziałem wojska. Kierunek ich powierzono pozostającym na żołdzie moskiewskim osobom, między którerni znajdowali się także oplwani przez lud wisielcy z r. 1794, jak: biskup Kossakowski, hetman Ożarowski i inni. Dodajmy dla dopełnienia obrazu, że dzierżąca wówczas w skalanych dłoniach lejce rządów Targowica, wydała d. 11. maja sancytum, mocą którego »od obieralności i głosu na sejmikach oddaliła wszystkich, którzy od sejmu konstytucyjnego recesu nie uczynili, akcesu do związku targowickiego nie zrobili, którzy przyjęli prawo miejskie, którzy byli delegowani do podziękowania za Konstytucję 3-go maja, lub którzy takową delegację popierali« — a będziemy musieli powtórzyć wraz z Kołłątajem, że sejmu grodzieńskiego »nie można nazywać dziełem wyboru narodu; należy go uważać, jako stworzenie despotyzmu moskiewskiego i arbitralnej rokoszan woli[1]).

Zdanie, wypowiedziane przez Kołłątaja, potwierdzają słowa króla, którego o stronniczość nikt nie posądzi, choćby dla tego, że sam dostał od ambasadora moskiewskiego, Sieversa, 20 tysięcy dukatów na koszta podróży do Grodna[2]) i przez cały czas trwania sejmu, pobierał od tegoż ambasadora trzy tysiące dukatów miesięcznie[3]). »Posłowie wszyscy pod bagnetami — pisze Stanisław August do Bukatego — a wielu też za pieniądze moskiewskie było obranych. Ledwie dziesiątą część ich znam, do żadnego nie gadam ani posyłam. Cudem właśnie widzę w nich stałość, odwagę a nawet roztropność i mowę«[4]).

Przymiotami wyżej wymienionymi odznaczali się naturalnie tylko opozycjoniści. Na stu czterdziestu posłów, między którymi byli także oficerowie na służbie rosyjskiej pozostający, jak major Łobarzewski, Grzegorzewski i t. p. znalazło się niepojętym a szczęśliwym trafem dwudziestu kilku obywateli z uboższej szlachty, ludzi jasnej myśli, mężnego ducha, czystych rąk i sumienia. Głosy ich rozbrzmiewały dźwięcznie a donośnie w sali sejmowej i przenikając jej mury, opasane stalowym pierścieniem moskiewskich bagnetów, leciały po gnębionym przez obce wojska, osłupiałym z bólu i rozpaczy kraju, jak okrzyk bojowy, jak hasło.

Sievers nie zaniedbał niczego, co mogło mu dopomódz do szybkiego i pomyślnego spełnienia rozkazów »wspaniałomyślnej monarchini«, jak tytułowali Katarzynę Targowiczanie — »ukoronowanej wszetecznicy«, jak nazywa ją potomność. Okolice i część miasta zajęły liczne wojska moskiewskie, wzbraniając przystępu do Grodna wybitniejszym osobistościom, któreby mogły niepożądany wpływ na tok obrad wywierać. »Tak ściśle jest zamknięte Grodno — pisze król do Bukatego — że moje własne powozy, idące o pół ćwierci mili do Poniemunia z kredensem moim

---

[1]) Kołłątaj: O ustanowieniu i upadku Konstytucji 3-go maja, t. II. str. 270.

[2]) Pamiętniki Sieversa, str. 88.

[3]) Kraszewski: Polska w czasie trzech rozbiorów, t. III. str. 351.

[4]) Kalinka: Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta, t. II. str. 255.

i bielizną stołową dla tego, żem tam miał w niedzielę jeść obiad, dla zażycia wolnego powietrza, przynajmniej w ten dzień niedzielny, były zatrzymane przez żołnierzy moskiewskich i dopiero za przysłaniem biletu od dyżurnego majora moskiewskiego, były przepuszczone«[1]). W zamian gościnnego przyjęcia doznawali tu wszelkiego rodzaju i typu awanturnicy, gracze, aktorowie, muzycy, piękne panie, słowem wszyscy, co mogli podsycać chęć do zabaw, jakiemi szalało miasto przez cały czas sejmu, lub dodawać świetności trwającym nieraz po kilka dni balom, na których kobiety występowały w greckich przejrzystych strojach, połyskując pierścieniami na obnażonych nóżkach. Większości posłów wypłacał ambasador miesięczne pensje, proporcjonalne do oddawanych usług, najpokaźniejszą, bo tysiąc dukatów wynoszącą, pobierał marszałek sejmowy, Stanisław Bieliński, zrujnowany karciarz i awanturnik. Wybitniejsze osobistości z otoczenia królewskiego, jak sekretarz Friese, przebiegły a sprytny Boskamp-Lasopolski, pozostawały także na żołdzie moskiewskim.

Po tak zręcznem urządzeniu scenerji, zdala od zgiełkliwej, rewolucyjnej Warszawy, w mieścinie, zaledwie w owych czasach koło czterech tysięcy mieszkańców liczącej, i po rozdaniu ról zręcznym aktorom, mógł Sievers spokojnie oczekiwać otwarcia sejmu, pewny — jeśli nie laurów i wawrzynów — to orderów i łask carowej. Ale — chłop strzela, pan Bóg kule nosi. Na pierwszem zaraz posiedzeniu zerwała się burza o przysięgę marszałka, o arbitrów (widzów), których wydalenia z sali sejmowej, żądał Sievers, aby ich przytomność nie onieśmielała zdrajców, nie dodawała zapału zelantom. Bieliński dwukrotnie zginał kolano dla wykonania wiarołomnej przysięgi, ale opozycja nie dopuściła go do głosu. Wykonał ją dopiero trzeciego dnia, gdy Sievers rozkazał sile zbrojnej zatrzymać po domach sześciu wybitniejszych posłów z partji opozycyjnej. I przez pięć strasznych miesięcy, toczy się nierówna, beznadziejna, rozpaczliwa walka między garstką szlachetnych, stawiających na kartę dla ocalenia czci ojczyzny mienie, wolność, życie, a zbrojnym w siłę, jaką daje żelazo, złoto, trwoga ludzka i ludzka nikczemność, pełnomocnikiem potężnego mocarstwa. I w ostatni nawet dzień sejmu, na kilka godzin przed jego zamknięciem opozycja pobita, zwyciężona, ale nie złamana moralnie, odnosi nad Sieversem tryumf, który go pozbawia łask carowej, zaszczytów, honorów i usuwa na zawsze nietylko z Polski, lecz i z widowni życia politycznego.

Nie tu miejsce na szczegółową opowieść o strasznych scenach grodzieńskiego sejmu. Wobec zbliżających się stuletnich rocznic największych, nieznanych w historji gwałtów, jakich Moskwa i Prusy dopuściły się na stanach sejmujących, zamierzamy podnieść jedynie parę momentów z tej tragedji, najbardziej charakteryzujących tak opozycję, jak i zaborców, do których z całą słusznością dadzą się zastosować słowa Irydjona, wypowiedziane o Rzymianach: »nie gromem Aleksandra, nie krótkim mieczem waszym, ale czarą trucizny, ale garścią złota, ale pobratymstwem ze zdrajcami dopełzaliście się potęgi waszej — i orły wasze legną się na bagniskach — nie na szczytach gór!«

[1]) Kalinka: Ostatnie lata, str. 257.

Miłość.

Napisała **Vilma Sokolova.**

(Ciąg dalszy).

Miłość szła dalej. Była późna, głęboka noc. Czarne, ciężkie chmury zasłaniały niebo. Na uśpionej ziemi, panowały takież ciemności. W jednem jedynem oknie migało słabe światełko. Miłość skierowała swe kroki w tę stronę, zajrzała przez oświetloną szybę do pokoju i bez szelestu wsunęła się do jego wnętrza.

Światło zapalonej lampy, padało na stos książek, leżących na stole, przy którym siedział młodzieniec z czołem ukrytem w dłoni. Pogrążony był widocznie w zadumę. „Obym tylko nie żył nadaremnie na świecie!“ — myślał, a myśl ta szarpała niespokojnie jego piersią.

Całą młodość strawił na badaniu i nauce. Nie pragnął wypoczynku, poświęcając każdą chwilę życia poważnej umysłowej pracy. Zstępował do głębiny wiedzy, skąd się wydobywają nowe pojęcia, nowe prawdy, nowe zdobycze na biegnącej w nieskończoność drodze postępu i oświaty.

— Czy potrafię sięgnąć tak głęboko, aby wydobyć stamtąd choćby drobne ziarnko prawdy i ofiarować je ludziom, ku ich uszlachetnieniu i szczęściu? — zapytywał siebie, myśląc o celu swych marzeń, dążeń, wysiłków.

— A czy ludzkość pragnie poznać prawdę? — pytał dalej. — Głosy pojedyńczych osobistości i ogółu dają twierdzącą odpowiedź na to pytanie, ale czego dowodzą dzieje przeszłości i doświadczenie dzisiejszej doby?

I w półcieniu jego izdebki przesunęły się długim szeregiem obrazy, przypominające mu, jakimi darami wywdzięczała się ludzkość tym, którzy pierwsi zwiastowali jej nowe prawdy, którzy je głosili i wyznawali, wskazując nowe kierunki i drogi.

I błysnęła mu czara, wypełniona po brzegi trucizną, wzniósł się krzyż ze skrwawionymi gwoździami i cierniową koroną, zadźwięczały złowrogo ciężkie kajdany, buchnęły wysoko płomienie ofiarnych stosów, otworzyły się czarne otchłanie wię-

zienia, tego grobu żyjących. Czy miał pójść ciernistą drogą męczenników prawdy?

Ale w tej chwili Miłość znalazła się tuż przy nim, wsparła czoło o jego serce i wyraźniej, goręcej niż kiedykolwiek uczuł potęgę i majestat prawdy.

Dla niej nie istniała trucizna, któraby ją zdołała uśmiercić, ani krzyż, na którymby mogła być ukrzyżowana, nie było kajdan, któreby ją skuły, płomieni, któreby ją strawiły, grobu, w którego głębiach możnaby ją na zawsze pogrzebać! I chociaż zamilkły usta pierwszych jej wyznawców, ona sama potężna i nieśmiertelna jaśnieje dalej.

— O Prawdo, pragnę tak żyć, abym coraz bardziej i bardziej zbliżał się ku tobie, abym każdym krokiem, każdem wejrzeniem szukał ciebie, kochał, wyznawał! — wyrwało się okrzykiem z piersi młodzieńca.

— Oby nigdy nie zabrakło mi sił do takiego życia, ani męstwa do wyznawania cię z jasnem, dumnie wzniesionem czołem — modlił się z głębi serca.

A Miłość tuląc się do jego piersi jeszcze serdeczniej, szeptała gorąco:

— „Wytrwała miłość dla prawdy będzie twoją oporą i siłą!“

I widząc z jak spokojną, rozjaśnioną twarzą wraca młodzieniec do przerwanej pracy, w dalszą puściła się drogę.

Stanęła przed budynkiem, z którego otwartych okien lały się dźwięki melodyjnych dziecięcych głosików.

„Synu, ucz się być mądrym“ — opiewał napis nad drzwiami budynku.

— Rozum dla mądrości, ale serce dla miłości otwieraj! — szepnęła Miłość, przestępując próg.

Śpiew melodyjnych głosików umilkł, a wielkie dziecięce oczy utkwiły w rysunek, składający się z punktów i linij, który miał przedstawić dzieciom obraz ich ojczyzny.

Ale Miłość już się tu znajdowała i czar natchnionego słowa, z głębi gorącej duszy płynącego, zmienił martwy rysunek w złote doliny pól, zielony jedwab łąk, połyskujące zwierciadła jezior, ciemny aksamit lasów, srebrne wstęgi rzek, w szare ruiny zamków, owych pomników ubiegłych stuleci, w sznury pereł, mknących pod olszyną potoków, w bieluchne stada wiosek, tulących się do zielonych sadów i ogrodów, w pyszne miasta, bogate w pamiątki przeszłości i wspaniałe gmachy, w fabryki, kipiące ruchem pracy i życiem teraźniejszości, w zielone fale wzgórz, pagórków i olbrzymów górskich ze skalistem, dumnem czołem, z ciemnymi lasami na potężnej piersi.

Miłość to uczyniła, ukazując młodym, z pączka w kwiat rozwijającym się duszom, ojczyznę, w całym blasku cudnej jej krasy, aby wszystkie ramiona z upragnieniem ku niej się wyciągnęły.

Zjawiła się tutaj, aby płomiennemi słowy wyrzeźbić we wrażliwych umysłach opowieść o tem, jak ta ziemia tuli miłośnie do łona naród, którego one są dziećmi, a zarazem, źródłem zasilającem od stuleci istnienie tego narodu.

Przyszła, aby wykazać, jak ten naród wychowywany przez ojczyznę, jej zawdzięczający tyle moralnych i fizycznych przymiotów, rozwijał się, wzrastał, potężniał, jak duch jego wzbijał się wciąż wyżej i wyżej, dążąc ku wszystkiemu co piękne, wielkie, wzniosłe. I opowiadała w dalszym ciągu Miłość, jak wielki syn tego narodu poniósł męczeństwo za prawdę i jak w czasach, kiedy świat zaciemniała nienawiść, a chwasty nietolerancji bujnie się wszędzie krzewiły, w łonie tego narodu otworzyło się serce dla tkliwej miłości braterskiej, która błysnęła niby wspaniała jutrzenka dalekiego dnia, o którym dotąd, jak o raju upragnionym, marzy ludzkość.

I mówiła dalej Miłość, jak synowie tej ojczyzny kochali swą ziemię, jak jej cześć była ich czcią, jej sława ich sławą, jak nadstawiali pierś i podnosili ramię w obronie praw ojczyzny i życie przelewali potokami krwi na ziemię, z której niegdyś to życie powstało. Opowiadała, jak synowie tej ojczyzny podnieśli ją na szczyty sławy, gdzie błyszczała i promieniała długo... długo.

Sięgnęła Miłość i tam, gdzie dotąd każde wspomnienie boli i pali niezagojoną ranę. I odmalowała ową straszną noc rozpaczy i nędzy, jaka ogarnęła ojczyznę — ciemną noc, rozjaśnianą jedynie łuną pożarów, pożerających dachy nad głowami ludzkiemi, zwilżaną nie kroplami rosy, lecz potokami łez i krwi; noc, która nie przyniosła ze sobą łagodnej ciszy, kojącej żal i ból, lecz tchnęła na ziemię mroźnym powiewem milczenia, które jest milczeniem grobu. I grobem stał się kraj cały, przygnieciony kajdanami i rozpaczą, niby kamieniem mogilnym.

I wskrzeszała dalej Miłość wspomnienia, które odmładzają duszę, jak wiosenny deszczyk ziemię — wspomnienia o owych czasach, gdy nie zgasłe w ciągu wieków iskry patrjotyzmu, buchnęły z popiołów śmierci jasnym płomieniem, który błysnął jak świt nowego dnia, nowego życia narodowi i ojczyźnie.

A dziecięce dusze, rozognione i wzruszone słowami Miłości, zaczęły przeglądać chociaż mglisto jeszcze, niejasno. Pojęły jak liczne, subtelne, a jednak nierozerwalne włókna i włókienka wiążą człowieka z ziemią, na której się urodził. Pojęły, jakie węzły łączą go z narodem, którego jest członkiem, którego tysiącletnie cierpienia, praca, sława, doświadczenie, zdobycze na polu cywilizacji, zwyczaje i obyczaje dają podstawę istnieniu osobnika i moralnemu jego rozwojowi.

Pojęcia te zapadały w młode umysły jak rosa, budząc w sercach uczucie silnej miłości ku ojczyźnie i narodowi, któremu Miłość daje życie. Gorącym, jak żar letniego słońca szeptem, mówiła im ona dalej:

— Chowajcie tę miłość od lat najwcześniejszych w waszych sercach. Niech wzrasta z wami, rozkwita, potężnieje, niech wam towarzyszy do

ostatniego tchnienia życia! Niech uczyni was silnymi, a wy nią uczyńcie silnym i niezwyciężonym swój naród, swoją ojczyznę!

I pozostawiwszy w każdem młodem sercu promień swej duszy, odeszła dalej.

Coraz smutniej i smutniej było tam, dokąd szła. Do jakich nizin zstępowała? O byłyto smutne niziny opuszczenia, nędzy, smutku i rozpaczy ludzkiej. Byłyto przepaści, do których niezliczone mnóstwo nieszczęśliwych dostało się z woli losu wnet po urodzeniu, inni zostali tam wtrąceni ciosami trosk i niezasłużonych nieszczęść, a jeszcze inni osunęli się pod ciężarem popełnionych błędów i grzechów.

I z głębin tych biły w górę jęki, płacz, okrzyki, łkania, westchnienia, skargi, wyrzuty, prośby, narzekania i klątwy, zlewając się w dziką, a wzruszającą muzykę, wypełniając przepaść aż po brzegi. Oh, alboż nie było wyjścia z tych otchłani nieszczęścia?

Trudno, bardzo trudno! Stoki były zbyt strome a brakło punktu oparcia, któryby umożliwił wydostanie się na powierzchnię przepaści, odcinającej nieszczęśliwych od reszty świata. Tam i owdzie niezwykłe wysiłki i napięcie sił możeby odniosły pożądany skutek, ale czyż nieszczęśliwi nie są zarazem bezsilni? Niepodobna wymagać od chorego, aby wykonał pracę fizyczną, którejby zdrowy organizm zaledwie mógł podołać. I skąd ma zaczerpnąć człowiek, chory moralnie, zgnębiony nieszczęściem lub wyrzutami sumienia, męstwa i mocy do zwalczenia przeszkód, do zwyciężenia ciężkiego i smutnego losu?

Miłość uczuła niewysłowioną boleść, a oczy jej nabiegły łzami bezbrzeżnego żalu.

— Powiadają, że jestem wszechpotężna — westchnęła — a czy mogę zmienić tę otchłań nędzy i rozpaczy w słoneczną krainę zadowolenia i szczęścia? Tak, ale wówczas dopiero, gdy serca ludzkie otworzą dla mnie najskrytsze swe tajniki. W nich i przez nie będę mogła stwarzać cuda — osuszyć łzy żalu, uciszyć westchnienia, ukołysać narzekania, wyplenić dawne winy.

I wyszła Miłość z krainy boleści, ale wróciła niebawem, wiodąc ze sobą liczne zastępy ponad brzeg otchłani. D. n.

Przełożyła z czeskiego za upoważnieniem Autorki,

M. Wysłouchowa.

Mrówki w roli ogrodników.

Dziwny, zdumiewający ród mrówczy w ostatnich czasach znowu zaprzątał uwagę wielu przyrodników. Rozum i rzeczywista inteligencja tych stworzonek, ich uspołecznienie całkiem zorganizowane, ich budowle spiętrzone, czyli ich mrowiska, muszą budzić podziw ogólny. Z życia ich dochodzą nas też coraz nowe szczegóły, którym na razie wiary często dać nie sposób. Wiemy, że przedsiebiorą one naprzykład formalne wyprawy wojenne, że pobiwszy inny mrówczy obóz, zabierają wrogowi drobne jego dzieci i wychowują je na swoich niewolników, obowiązanych spełniać ich rozkazy i pracować wedle ich wskazówek, że gości przyjmują w domu i raczą ich, częstują, że wreszcie hodują cały szereg domowych zwierzątek, jak my hodujemy bydełko, ptactwo, konie itd. Nie koniec na tem, poświęcają się własnowolnie dla dobra ogólnego, po obywatelsku. Mrówki „miodowe" w Mexyku naprzykład, pozwalają sobie przez ogół mrówek wpakować w organizm tyle miodu, że aż skóra na nich się wydmie, i w tym stanie jedna przy drugiej sterczą nieruchomie na ustroniu, czekając aż przyjdzie pora nieurodzaju i głodu mrówczego. Wtedy głodni współobywatele mrówczego rodu przychodzą do nich, niby do spiżarni jakiejś, naciskają jeden z żywych rezerwuarów miodu i raczą się, wysysając miód do ostatniego źdźiebełka.

Jest rzeczą pewną, że i rolnictwem mrówki zajmować się potrafią. Jest naprzykład roślina „Aristida stricta", której nasienie dokoła swej siedziby mrówki chętnie rozsypują, czy też może gubią przypadkiem. To jest jednak pewnem, że jak tylko „Aristida" kiełkować zacznie, wnet wszystkie rośliny dokoła niej będące, mrówki wygryzają i usuwają na stronę, zapewniając tym sposobem wzrost i plon ulubionej rośliny obfitszy.

Choćbyśmy atoli cały szereg znanych już z życia mrówek faktów przytoczyli, nie wyczerpiemy materji, każda bowiem obserwacja nowy fakt ciekawy z życia tych stworzeń przynosi. Więc teraz naprzykład świeżo zostało stwierdzone, że niektóre mrówki hodują zupełnie *per modum* ogrodników ulubione jarzyny.

Od pewnego już czasu zauważano, że pewien gatunek mrówek odbywa następujące operacje z roślinami, które chce przyswoić. Gromadnie idą mrówki w stronę, kędy dana roślina się znajduje, wycinają kawałki liścia jej na pół lub ćwierć cala średnicy i niosą go niby parasol, wspólnemi siłami do swej siedziby. Z takim ciężarem trudno byłoby im ciągnąć przez pole, o ile ono trawą jest porosłe, zatem artykuł drugi: wśród trawy inne mrówki urządzają trakt, wycinają źdźbła trawy równo przy ziemi i usuwają je na stronę. Tak powstaje droga, która później wygładza się bieganiem po niej miljonów mrówek. Jeżeli teraz rzuci się okiem podczas transportu listków owej rośliny na tę drogę, wygląda ona tak, jak gdyby jakiś dziwaczny wąż zielony pełznął wśród trawy, tak zbitym szeregiem ciągną mrówki, dźwigające listki danej rośliny. Naturalista Alfred Möller obliczył, że objuczona w taki sposób mrówka, potrzebuje godziny i minut dziesięciu na przebycie drogi długiej na 26 metrów.

Niemniej zdumiewającemi są podziemne roboty tejże małej mrówki. Hamlet Clark, angielski natu-

ralista odkrył, że pod łożyskiem rzeki Parahyba w Rio de Janeiro, mrówki formalny tunel przekopały i na przeciwległym brzegu rzeki urządziły sobie magazyn żywnościowy. Rzeka Parahyba jest w tem miejscu głęboka i ma blisko pół kilometra szerokości. Wszystkie te roboty, mrówki wykonywują bajecznie zręcznie i szybko. Jeden z naturalistów, który mrówkami bardzo się zajmuje, dr. Ellendorf, zauważywszy procesję mrówek obładowanych listkami, o których wyżej była mowa, położył im w poprzek drogi długi kloc drzewa. Mrówki nie były w stanie z ciężarami swojemi wdrapać się na tę zaporę i cała karawana utknęła. Po bezowocnej bieganinie w jedną i w drugą stronę, te mrówki, które były najbliżej zapory, zrzuciły ciężary i poczęły kopać tunel. W półgodziny tunel ten był już gotowy i włożywszy na barki napowrót swe ciężary, mrówki tryumfalnie tunelem tym pociągnęły w dalszą drogę. Wszystko to w jak największym, wzorowym porządku. Tenże naturalista zauważył, że przed pochodem takiej karawany biegnie jej traktem tam i z powrotem, rozglądając się dokoła, gromadka mrówek niczem nieobjuczonych, to jest policja mrówcza, która przepatruje, czy droga jest pewna i wszystko, co ją utrudnia, jak suche listki, źdźbła słomy i t. p. zapory na bok usuwa.

Ciężary, jakie te stworzonka dźwigać mogą, są po prostu olbrzymie. Pewnego razu 19 mrówek ciągnęło 130 miligramów, innym razem 17 mrówek dźwigało aż 1075 miligramów, co w stosunku z wagą samych mrówek wyraża się 1 : 9, w której 1 jest wagą mrówek a 9 wagą ciężaru.

Ale pytanie, w jakim celu mrówki sprowadzają takie transporty ziela do swych siedzib? Niektórzy przypuszczali, że na pokrycie jakoweś swych siedzib, na ich osłonę i t. p., inni, że na pokarm je wprowadzają. Obadwa poglądy są mylne. Naturalista Möller stwierdził, że one używają owych liści itp. jako nawozu, dla użyźnienia ziemi, na której prowadzą swe plantacje! Przekonywa o tem fakt, że do samej siedziby, zielska tego mrówki nie wprowadzają, ale że pocięte drobniutko układają je na tej właśnie przestrzeni, gdzie hodują rośliny i to przeważnie grzyby. Proste rozejrzenie się przy pomocy lupy w ogrodzie mrówczym, pozwala dostrzedz maleńkie wypukłości pleśni $^1/_4$ do $^1/_2$ milimetrów średnicy mające. Są to grzybki, będące ulubionem mrówek pożywieniem. Otóż grunt, na którym owe grzybki wyrastają, użyźniają mrówki owemi pociętemi, a raczej na miazgę startemi liśćmi, które już mają w swych komórkach zarodki grzybów i te w przyjaznych okolicznościach wnet poczynają wyrastać.

Nie koniec na tem. Mrówka wie, że wszelka roślinność tamuje rozwój ulubionych jej grzybków, więc młodsze pokolenie mrówek ma pieczę nad tem, aby w ogródku grzybnym żadna inna roślina, żadne zielsko się nie rozwinęło i niech tylko gdzie kiełek zielska się pokaże, wnet zostanie przez te małoletnie mrówki wypielonym. Zupełnie jak wśród ludzi! I niech czynność ta zostanie zaniedbana, niech te mrówki zostaną usunięte z ogródka, wnet porastają w nim inne pleśnie i grzyby i przygłuszają rozwój tamtych, mrówkom miłych i przez też mrówki umiejętnie hodowanych. Rzecz ta wielokrotnie stwierdzoną została.

Kto nauczył te stworzenia tak skomplikowanych czynności ogrodniczych? Nikt. Powie kto i w porę może, o celowości w naturze: zapewne, ale i sama celowość jeszcze nie jest ostatniem słowem i też znak zapytania przy niej postawić można. W życiu drobnej mrówki, spotykamy się ze zjawiskami, które pomimo swej skali, budzą to samo zamyślenie i ten sam podziw, co najwspanialsze zjawiska w przyrodzie. Drobna mrówka wyszukuje materjały do budowy mrowiska, buduje mrowisko z planem, stwarza cały labirynt, w którym żyje w stanie zupełnego uspołecznienia, a teraz oto przekonywamy się, że się zajmuje systematycznie uprawą roli i ogrody zakłada...

U »LEŚNYCH LUDZI«

napisał

J. H. ROSNY.

(Ciąg dalszy.)

Wszystkie te pytania bezładnie przebiegały przez jego mózg, nie znajdując odpowiedzi. Nie odbierały mu jednak odwagi. Naukowa autosuggestya, stan hypnotyczny, w jakim prawdopodobnie znajdował się i Pliniusz, obserwując wybuch Wezuwjusza, nie opuszczały go ani na chwilę. Nie myślał też o cofnięciu się — szukał tylko środków przezwyciężenia trudności.

Kiedy tak rozmyśla, nagle słyszy około siebie słaby szmer. Obraca się i widzi w półcieniu coś w rodzaju małego, czarnego dziecka, które utkwiło w niego okrągłe, przestraszone oczy. Jak wszedł tam, co on tam robi? — badało oczami to dziecko, czy zwierzątko. Nie miał czasu zastanowić się co do tego, kiedy mały goryl wydał krzyk przestrachu, wywołanego prawdopodobnie poruszeniem głowy przyrodnika. W tejże chwili, wśród zgromadzenia zapanowała grobowa cisza. Małe krzyknęło powtórnie. Zgromadzenie zerwało się na równe nogi, tuzin najbliżej siedzących podbiegł ku kryjówce. Magne nie chciał, aby go małpy w ukryciu zastały, wolał je spotkać na otwartem polu. Wyszedł z dziupli, łagodnie pogłaskawszy wystraszonego gorylka, przypadł ku ziemi, przybrał postawę pokorną, nie wyzywającą, unikając, zgodnie z radami murzynów, patrzenia na nadchodzących.

Wkrótce poczuł, że go z ziemi podnoszą. Sądził, że wybiła jego ostatnia godzina, mimowoli sięgał ręką do kieszeni po rewolwer. Groźne

mruczenia powstrzymały go od wykonania zamiaru.

Magne, przymrużywszy oczy, obserwował. Ze wszystkich stron otaczały go tłumy wzburzone, ciekawe; naokoło siebie widział czarne głowy, z potężnemi szczękami, uzbrojonemi w kły olbrzymie; twarze wyglądały w tej chwili strasznie — dziko. Czuł, że życie jego wisi na włosku. Cokolwiekby przedsięwziął, wszystko było napróżno; obrona była niemożliwą, o ucieczce ani myśleć nawet! W uściskach potężnych ramion, patrząc na tych olbrzymów, nie wytrzymałby i pół minuty — wystarczało, aby te ramiona zechciały wziąć go w swe uściski.

Doświadczał szczególnego uczucia, które zauważył już Liwingstone pod łapami lwa: tak silnego zwątpienia, że tłumiło zupełnie uczucie strachu — była to pewna niemożność doświadczenia obawy. Słyszał, widział, że o nim radzą; parę rąk groźnie ku niemu wyciągnięto — lecz wkrótce wokoło zapanowała cisza. Zbliżał się jakiś goryl, olbrzym śród olbrzymów. Zrobił parę znaków i posłuszna gromada rozstąpiła się przed nim. Ten, który go trzymał, wziął go i zaniósł do wodza, czy najsilniejszego w gromadzie i złożył na ziemi, u nóg jego. Stopniowo Magne zaczął doświadczać obawy wobec tego, co nastąpić miało.

Zauważył, że jest przedmiotem nadzwyczajnej ciekawości. Na pewno nigdy jeszcze podobna istota nie zjawiła się w lasach Kyamo'a. Jego blond włosy, biała twarz, jasne ubranie, korkowy kapelusz — wszystko to było dla gorylów nowością, czyniło z przyrodnika jakieś szczegolne, nieznane im zwierze, którego puszcza Kyamo od wieków, a może i nigdy nie widziała! Murzyna znali, zwyciężyli go, wypędzili na zawsze z lasów, uważając go za przeciwnika mniej niebezpiecznego niż lew.

Ale ten biały, skąd pochodzi, jakim sposobem zakradł się do ich państwa, czy z zamiarem szkodzenia ich szczepowi? Na zwierzęcych twarzach wyraźnie malował się niepokój i brak postanowienia. Jak się z nim obejść? zabić go, czy tylko wypędzić, a może zatrzymać u siebie?

Wszystkie te kwestje, bezwątpienia, nie znajdywały pewnych, wystarczających odpowiedzi; wreszcie zgodzono się, tak przynajmniej sądził Magne. Jeden z gorylów nagle zbliżył się ku niemu. Leżąc na ziemi, Magne odczuwał wyraźnie całą swoją bezsilność — oczekiwał ciosu, który miał przeciąć nić jego żywota. Upłynęła jednak chwila i nic się nie stało: groźne zamiary goryla widocznie powstrzymano. Otworzywszy oczy, Magne poznał z wyrazu twarzy i postawy otaczających go gorylów, że w obecnej przynajmniej chwili niema już się czego obawiać. Przeniesiono go na skraj polanki i umieszczono między korzeniami drzewa pod strażą dwóch silnych małp, związawszy mu poprzednio ręce i nogi lianami. Z tej odległości, nie widząc nic, słyszał, że zgromadzenie ciągnęło dalej swe obrady. Czuł niepewność swego losu, gorzki smutek osiadł mu na sercu, mimo to wcale nie żałował tego, co zrobił; ciekawość trwała dalej, zaostrzała się, zjawiały się coraz nowe, coraz ciekawsze pytania.

* * *

Poranek. Słońce wstaje szybko, obciąża nieboskłon swą złocistą, palącą kulą — pod równikiem, przepyszne nasze wschody i zachody słońca nie istnieją: noc zapada nagle; równie nagle dzień nastaje. Las zdaje się kończyć, jest to jednak złudzenie: urywa się na brzegu olbrzymiej rzeki, aby po drugiej stronie ciągnąć się bez końca. Na piaskach przybrzeżnych drzemią potworne krokodyle, rozliczne ptactwo wodne, czarnemi plamami pokrywa błękit nieba, ciężkie rzeczne konie, sapiąc, płyną po zielonawej wodzie. Nadbrzeżne zarośla, dysząc zgnilizną, żyją innem życiem: skrytem dla oka, pasożytniczem, a w głębi bujnem, wabiącem oko wszystkiemi barwami tęczy — ponad powierzchnię ziemi.

Nad brzegiem rzeki, przy małej zatoce, zgromadziły się goryle. Jest ich około tysiąca, a między niemi jeden Europejczyk, jeden biały niewolnik.

Magne był nagi, ponieważ małpy zdjęły z niego ubranie.

Był głodny; karmiono go korzonkami i to skąpo. Był zmęczony, ponieważ małpy nie dawały mu spokoju, przerywały sen, przeprowadzały z miejsca na miejsce. Król stworzenia, człowiek — został poniżony, przygnieciony ich siłą niezmierną, ich pewnością siebie i odwagą, jednak nie przez złe obchodzenie się i brak szacunku: poznano w nim istotę słabszą, ale wyższą.

W pierwszym dniu jego niewolnictwa, kiedy go ostatecznie zostawiono przy życiu, małpy były więcej ciekawe niż dzikie; postawa jego jednak i niektóre ruchy budziły w nich niepokój. Ich instynkt mówił im, kim jest Magne. Strzegły go bardzo, niedowierzały mu, tak, że Magne coraz to bardziej tracił nadzieję, żeby mógł wyjść cało z tej ciężkiej niewoli. Strzegąc go, równocześnie kryły się przed nim; mimo to wszystko Magne miał, co chciał, mógł swobodnie badać te ciekawe zwierzęta we wszystkich ważniejszych przejawach ich życia.

Po krótkiej rannej przechadzce, jego panowie zatrzymali się znów nad brzegiem rzeki; tu spotkali równie wielką gromadę gorylów, które zdawały się na nich oczekiwać.

Z krzyków powitania, znaków i ruchów, Magne nareszcie odkrył zagadkę, zrozumiał, co sprowadziło gorylów do tego zakątka lasu.

Na środku rzeki, w odległości około czterechset metrów, widać było wązką a bardzo długą wysepkę; ku niej zwracały się wszystkie oczy, wszystkie gesty. Przyjrzawszy się bliżej, Magne dostrzegł wśród nadbrzeżnych zarośli

wysepki gromadkę gorylów; miały miny smutne, przygnębione — szczególniej matki z młodemi.

Cały dramat, nad którym radzono na wielkiem posiedzeniu, stanął mu od razu przed oczyma; zbieranie się gorylów ze wszystkich stron lasu, zgromadzenie, narady i pochody: jednocześnie, coraz to wyraźniej dostrzegał ślady rozumnych urządzeń społecznych, podobnych bardzo do ludzkich, łączność i jej poczucie między pojedynczemi gromadami.

W jakiż jednak sposób gromada małp dostała się na wyspę, gromada istot, którym nieznane są nawet najpierwotniejsze sposoby pływania i przeprawy? To pytanie tak zajęło naszego przyrodnika, że zapomniał o swojej własnej biedzie. Badał okolicę, słuchał rozmowy małp, zebranych na brzegu — gdyż w tem miejscu spotkania zapomniano o nim na chwilę. Dwie szczególne rzeczy zwróciły jego uwagę: najprzód skała wielka, która nagle, jakby się urywała, wchodząc w rzekę, następnie druga takaż skała na jej środku między brzegiem a wysepką.

»Czyż tu był most?« — myślał zdumiony.

Most? zbudowany przez gorylów?

Nie... prędzej wybryk przyrody, lub most przez nią nieświadomie utworzony, po którym chodzić przywykły, który łączył wyspę z brzegiem. Nastąpił przewrót jakiś, zerwał most i mieszkańcy wysepki zostali odcięci od reszty świata...

— Tak... tak... sto razy tak... jestem w domu... Mam rozwiązanie zagadki — mruczał Magne, siłą wstrzymując się od głośnego wyrażenia swej radości, coby zwróciło uwagę małp, które w tak ważnej chwili, podrażnione, możeby się z nim gorzej, niż dawniej, obeszły.

* * *

Co zrobią, w jakim kierunku zwrócą swoje usiłowania? Najprawdopodobniej zechcą ocalić towarzyszy, wyszukać jakiś środek połączenia wyspy z brzegiem.

— Nic nie zrobią — pomyślał — zadanie przechodzi ich siły... Nie znają żadnych środków żeglugi, mostu nie zbudują. Tymczasem ja mogę się tam dostać, mogę im przyjść z pomocą i... może uzyskam tym sposobem wolność, oddawszy im tak ważną przysługę...

Serce silniej mu zabiło. Zaczął się uważniej małpom przyglądać. Podniecone władze umysłowe jaśniej wyrażały w gestach przebłyski myśli, które się błąkały pod ich spłaszczonemi czaszkami: wszystkie starały się ocenić odległość między dwoma skałami: »Most!... one marzą o moście!... Biedne zwierzęta.«

Usiadł i uważał. Upłynęły dwie godziny — wreszcie goryle przystąpiły do dzieła. Wykopały drzewo, najwyższe z tych, jakie nad brzegiem rosło, drzewo około sześćdziesięciu metrów wysokie. Powoli, z wielkim trudem, przyciągnęły je do wystającej nad wodą skały: »Ach! dzieci! rzekł do siebie Magne. Sądzą, że drugim końcem dosięgną wyspy...!«

Jednocześnie podziwiał ich inteligencję... idea mostu istniała już u nich, wyrobiły ją sobie... Cóż z tego, że nie umieją jeszcze ocenić szerokości rzeki?

Postawiono drzewo na skale bez lin i bloków, jedynie dzięki olbrzymiej sile pracowników. Następnie wolno, kierując ruchem, pozwolono mu upaść na wodę. Drzewo upadło, roztrąciło wierzchołkiem zielonawą powierzchnię rzeki. Upadkowi towarzyszył okrzyk radosny całej gromady, który wkrótce zastąpiła przygnębiająca cisza: koniec drzewa nie dosięgnął środkowej skały.

Magne wstał i zbliżył się do miejsca nieudanej próby.

Zbliżył się do małpy, która, sądząc z jego obserwacji, była niejako wodzem całej gromady, odznaczała się największą inteligencją.

Wyrazistym ruchem ręki wskazał trzykrotnie na obalone drzewo, potem na siebie; następnie za pomocą odpowiednich gestów między nim a wyspą starał się im dać do zrozumienia, że chce coś zrobić dla ich nieszczęśliwych towarzyszy. Patrzono na niego ciekawie, z odcieniem niedowierzania. Magne powtórzył kilka razy myśl swoją, wyraźnie, w dobitnych gestach, następnie pewnym krokiem poszedł na brzeg rzeki, wybrał ostry, płaski kamień i począł obcinać gałęzie przewróconego drzewa.

Goryle zaczęły porozumiewać się między sobą, powoli też zjawiło się wrażenie, które Magne chciał wywołać: jakaś nieokreślona nadzieja.

Po odcięciu pierwszej gałęzi udało mu się skłonić gorylów do pomagania mu w pracy: on odcinał, herkulesowe goryle naginały mu gałęzie, ogałacały z mniejszych gałęzi i liści.

Po godzinnej pracy z pomocą małp, posiadał już około pięćdziesięciu żerdzi, które, przytwierdzone do paru starych pni, utworzą tratwę. Był zadowolony, pełen nadziei. Goryle stopniowo traciły wyraz niedowierzania: widać było, że obchodzą się z nim lepiej, niż z początku.

Odpocząwszy trochę, zjadłszy wydzieloną mu porcję pożywienia, Magne udał się na poszukiwanie lianów. Setka małp towarzyszyła mu, pomagając wyrywać postronkowate, cienkie łodygi tych roślin. Zebrawszy dostateczną ilość, umocował niemi żerdzie i na trzy godziny przed zachodem słońca tratwa była gotową.

* * *

W tym punkcie leżała właśnie największa trudność całego tego przedsięwzięcia: trzeba było skłonić jednego z goryli, aby wsiadł z nim razem na tratwę i popłynął na wyspę. (D. n.)

Wyradzanie się ludności.

Ilość niezdolnych do służby wojskowej zwiększa się ogromnie co roku we wszystkich prawie europejskich państwach. Obecnie zwraca na to zjawisko uwagę pismo wojskowe »Progrés militaire«, rozpatrując uchwalone w Niemczech powiększenie armji. We Francji, w stosunku do ludności powinno być rok rocznie przeszło 300.000 popisowych, tyleż w Niemczech, a we Włoszech 183.000. W roku 1891 wybrano z tej liczby zdatnych do służby w pierwszem z tych państw 271.500, w drugiem 204.000, a w trzeciem 169.000. W roku zaś 1892 było już zdatnych we Francji tylko 251.541, w Niemczech 184.490, a we Włoszech 128.000. Takie zmniejszanie się liczby rekrutów, odpowiadających wymaganiom coraz skromniejszym, jest stałe z roku na rok w całej Europie. »Progrés militaire« tłómaczy ten objaw ogólnym w Europie upadkiem moralności, niezmiernie licznymi rozwodami, które zwiększają liczbę dzieci niemających rodziców, a więc żyjących byle jak, a zwłaszcza tem, że lud wszędzie odżywia się coraz gorzej. Kobiety, pracujące w fabrykach od lat bardzo młodych, nie są dość silnemi matkami, a ojcowie spędzający część życia w szynkowniach, dzieciom oddają wszystkie nabyte organiczne wady. Co roku rodzi się we Francji, średnio biorąc 43.000 martwych niemowląt, co dowodzi, że zdrowie rodziców dobrem nie jest, a skoro tak, to i całe młode pokolenie składa się mniej więcej z cherlaków. Nie z żadnych etycznych względów, ale jedynie dlatego, aby Francji nie zabrakło rekrutów, domaga się »Progrés militaire« utrudnienia rozwodów, usunięcia z fabryk kobiet i dzieci, święcenia wszystkich dni świątecznych, aby odpoczynek dla ciała i ducha był jak najczęstszy, wreszcie szkół takich, któreby mniej męczyły dziecinne głowy formułkami naukowemi, za to lepiej kształciły charaktery.

Z ruchu literackiego.

Aureli Urbański: Miatież 1863. Nakładem drukarni polskiej. Lwów 1893.

Gdzie łzy i krew, tam i pieśń się zjawia. Rok 1863, tak bogaty w łzy i krew, rok bohaterskich wysiłków, wielkich a cichych poświęceń, tylu rozbitych nadziei od samego początku, dawał też obfite żniwo pieśniom, nie przestał i dotychczas dostarczać dla nich materjału i natchnienia. P. Urbański wielu miał poprzedników, lecz śmiało powiedzieć możemy, że jego książeczka po raz pierwszy daje nam jasne wyobrażenie o tem, jak bogatą skarbnicę motywów poetycznych ten rok mieści w sobie. Potrzeba było lat 30-tu, mnóstwa nagromadzonego materjału pamiętnikowego, potrzeba było tego ukojenia, ułagodzenia uczuć wzburzonych przez klęskę, tej cichej rezygnacji, jaką dają zabliźnione, choć niezgojone rany, by taka książeczka, jak p. Urbańskiego, powstać mogła. Z tego, co wydał rok 1863 na niwie pieśniowej, jest ona płodem najdojrzalszym i najświetniejszym, i niewątpliwie jest najcenniejszym utworem poezji polskiej, jaki się pojawił w roku bieżącym, dla którego będzie w historji literatury, jedną z najlepszych charakterystyk. Boż rok 1863, to rok wspomnień, a książka p. Urbańskiego, niektóre z nich, może najboleśniejsze, stawia przed oczyma potomków w całej jaskrawości poetycznego jasnowidzenia.

Nie dał nam p. Urbański epopei »miatieży», nie opowiadał dziejów krwawych zapasów, intryg, dyplomatycznych zabiegów, szarpania się stronnictw, pomyłek; zdrad jednostek, małoduszności wielkich, chwiejność możnych, wszystkiego tego, co z góry czyniło bezowocnemi wszelkie ofiary i zapasy gorących i oddanych sprawie patrjotów. Te wyższe sfery powstania, szersze jego horyzonty pozostawił on sądowi historyka. Tło ogólne, syntezę całości pozostawił badaczom lub późniejszym piewcom. Jego »Miatież« jest szeregiem licznych epizodów z dziejów powstania. Opiewa w nich tylko jedną jego stronę, ale najszczytniejszą i dla wspomnień najboleśniejszą, lecz zarazem najbardziej zdolną podnieść i zagrzać ducha: drobne, ciche poświęcenia i ofiary jednostek, drobne lecz nie mniej bohaterskie wysiłki garstek ludzi, epizody mało ważące na szali dziejów, gdzie się ważą losy narodów, lecz doniosłe i potężne tam, gdzie się waży poziom moralnego uczucia, suma szczerego zapału, dobrej wiary i gorących uczuć, poświęconych pewnej sprawie. Z tej więc, dla poezji najwdzięczniejszej strony uczuć i zapału, spojrzał p. Urbański na dzieje »miatieży« 1863; znalazł w nich sporo momentów, które żywcem, bez ozdób i bez wysiłków twórczych dały się przenieść w dziedzinę poezji, przetopić w prawdziwe brylanty poetyczne.

Brylantów tych wyliczać nie będziemy; sporo ich w książce p. Urbańskiego i musielibyśmy wyliczyć większą część jej treści. Zaznaczymy tylko jako rzeczy pierwszorzędnej wartości: »Szarotkę«, »Ojca Kocha«, charakterystykę Murawiewa Wieszatiela i fizjognomji Wilna pod jego rządami. Są w tych rzeczach ustępy, pod względem precyzji i plastyki prześliczne, godne podziwu. Świetną jest też »Placówka«, nadzwyczaj żywo opowiedziany epizod »Pan komisarz wojenny«. Lecz pocóż wyliczenia? Mamy nadzieję, że książeczka p. Urbańskiego, znajdzie się w ręku każdego Polaka i nie wątpimy, że każdy znajdzie w niej rzeczy, chwytające głęboko za serce.

Iw. Franko.